

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 8·75 Półrocznie kor. 17·50. Rocznie kor. 35. — Do Niemiec: Kwartalnie 9 kor. 50 hal. Półrocznie 19 kor. — hal. Rocznie 38 kor. — hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 10 kor. 50 hal. Półrocznie 21 kor. 10 hal. Rocznie 42 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 40 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżone 56 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XII [illegible]

ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 [illegible]

Telefon Nr. 472.

[illegible] Sylweryusz [illegible]

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 2!

Główny skład na Królestwo Polskie: Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 70 halerzy

Rok XV. | Kraków, 16 marca 1918 | Nr. 11

Koniec inwazyi rosyjskiej.



Komendant Brodów oddaje miasto delegatowi armii austryackiej.

[illegible]: Protest Galicyi. — Pochód Niemców na Wschód. — Z życia Polaków na Węgrzech. — Z frontów bojowych. — Zgon dziennikarza i t. d.

Koniec inwazyi rosyjskiej.

Choć Rosya już dawno przestała być państwem, mającem jakiekolwiek znaczenie militarne, do ostatniej prawie chwili trwała inwazya rosyjska na małym skrawku Galicyi wschodniej. Najdłużej, bo od początku wojny znosiły ciężar gospodarki rosyjskiej Brody, gdzie dopiero po podpisaniu traktatu brzeskiego wkroczyły wojska austryackie i objęły tam urzędowanie. Wkroczenie wojsk austryackich do Brodów nastąpiło naturalnie w sposób całkiem pokojowy. Powitał je uroczyście komendant rosyjski, a zainstalowanie się nowej władzy nastąpiło w asyście nielicznych przedstawicieli wojska rosyjskiego. Trzeba tu bowiem zaznaczyć, że gospodarka rosyjska w Brodach skończyła się już faktycznie z chwilą zawieszenia broni na wschodnim froncie. Miasto to, zniszczone przez wojnę kompletnie, było na razie bez gospodarza pozostawione samo swemu losowi, bo już z rozpoczęciem rokowań brzeskich wojska rosyjskie poczęły masowo opuszczać pozycye bojowe i okopy i rzucając broń, powracały do domów. Gdzieniegdzie tylko widać było posterunki, wzbraniające jeńcom i osobom cywilnym przechodzenia na tę stronę frontu. W mieście nie było już żadnych władz rosyjskich, ani komend wojskowych. Rządy miasta spoczywały w rękach burmistrza, sędziego Hulikowskiego. Natomiast w okolicznych lasach gnieździły się liczne niebezpieczne bandy, złożone ze zbiegłych z frontu żołnierzy rosyjskich. Rabusie, wykorzystując chwilę masowego powrotu jeńców, napadali na powracających, obdzierając ich z gotówki, a nawet odzieży. Niedawno schwytano bandę, złożoną z siedmiu okolicznych chłopów, którzy, przebrani w mundury żołnierskie, dopuszczali się rabunków.



Koniec inwazyi rosyjskiej: Powitanie marszałka Böhm-Ermollego przez reprezentacyę gminy brodzkiej. (Woj. kwat. pras.)

Po odejściu wojsk rosyjskich, Brody miały innego rodzaju gości. Miasto i okolice zamieniły się w istne obozowisko powracających z dalszych i bliższych stron Rosyi jeńców austryackich i osób cywilnych, wywiezionych z Galicyi w czasie wojny. Przeprowadzaniem ich przez linię bojową zajmowali się przeważnie żydzi, którzy pobierali za to sowite wynagrodzenie, dzieląc się zyskiem z żołnierzami, stojącymi na posterunku.

Obecnie po zawarciu formalnego pokoju i wkroczeniu do Brodów władz austryackich zaczynają wreszcie w tem mieście powracać normalne stosunki.

W niniejszym numerze zamieszczamy szereg fotografii z uroczystego wkroczenia do Brodów wojsk austryackich i powitania ich przez ludność oraz ustępujących przedstawicieli wojska rosyjskiego.



Pochód Niemców na Wschód: Oddział wojsk niemieckich zbliżający się do Dorpatu. (Fot. Bufa)

Protest Galicyi.

W odpowiedzi na gwałt, dokonany na naszym narodzie przez oderwanie od Królestwa Polskiego kawału Chełmszczyzny i Podlasia, co po całym kraju odbiło się bolesnem echem, posypały się zewsząd



Protest Galicyi: Przemówienie włościanina Madejczyka pod pomnikiem Kościuszki w Jaśle.



Protest Galicyi: Wiec przed gmachem Sokoła w Jaśle. (Fot. Jaworski).



Kozacy poprzedzają wkraczające do Brodów wojska austryackie.



Koniec inwazyi rosyjskiej: Powitanie wkraczających do Brodów wojsk austro-węgierskich (Woj. kwat. pras.)

protesty. Naród polski w tej smutnej chwili okazał się solidarnym, a postawa, jaką zajął, okazała jego siłę i żywotność.

W szeregu miast, które zamanifestowały swą jedność z narodem i stwierdziły polski jego charakter, nie pozostał też w tyle i Jarosław, uważany przez naszych wschodnich sąsiadów za miasto, jak się dawniej mówiło, ruskie, dziś ukraińskie.

I tutaj odbył się obchód uroczysty na znak protestu, a wzięły w nim udział tłumy ludu miejscowego i okolicznego, nie spędzonego bynajmniej obietnicami, lub groźbami, ale przybyłego z własnej woli i poczucia godności narodowej.

Obok intelligencyi miejscowej zjawiło się licznie mieszczaństwo i tłumy siermiężnego ludu.

Po nabożeństwie w miejscowym kościele przemawiał na zgromadzeniu dr Wł. Bachowski, poczem złożono przysięgę. Do ludu mówił jeden z kapłanów, przedstawiając ważność chwili i wzywając do gorliwej współpracy w tak ciężkich dla narodu czasach.

Następnie rozwinął się pochód. Przed tablicą grunwaldzką prof. Wondaś nakreślił historyę traktatu brzeskiego, a zgromadzeni odśpiewali „Rotę“ Konopnickiej.

Streik był powszechny, a porządek, niczem nie zakłócony, wskazywał, że ludność miejscowa uznaje powagę chwili.

Również i w Jaśle pamiętano o obowiązku narodowym, a przebieg tamtejszej manifestacyi opisuje nasz korespondent w następujących słowach:

Wieść o krzywdzącym naród polski układzie brzeskim wywołała w zwykle sennym i apatycznym Jaśle żywy odruch, który przejawił się w demonstracyi tak imponującej siłą, liczbą i powagą, jakiej jeszcze nigdy nie byliśmy świadkami.

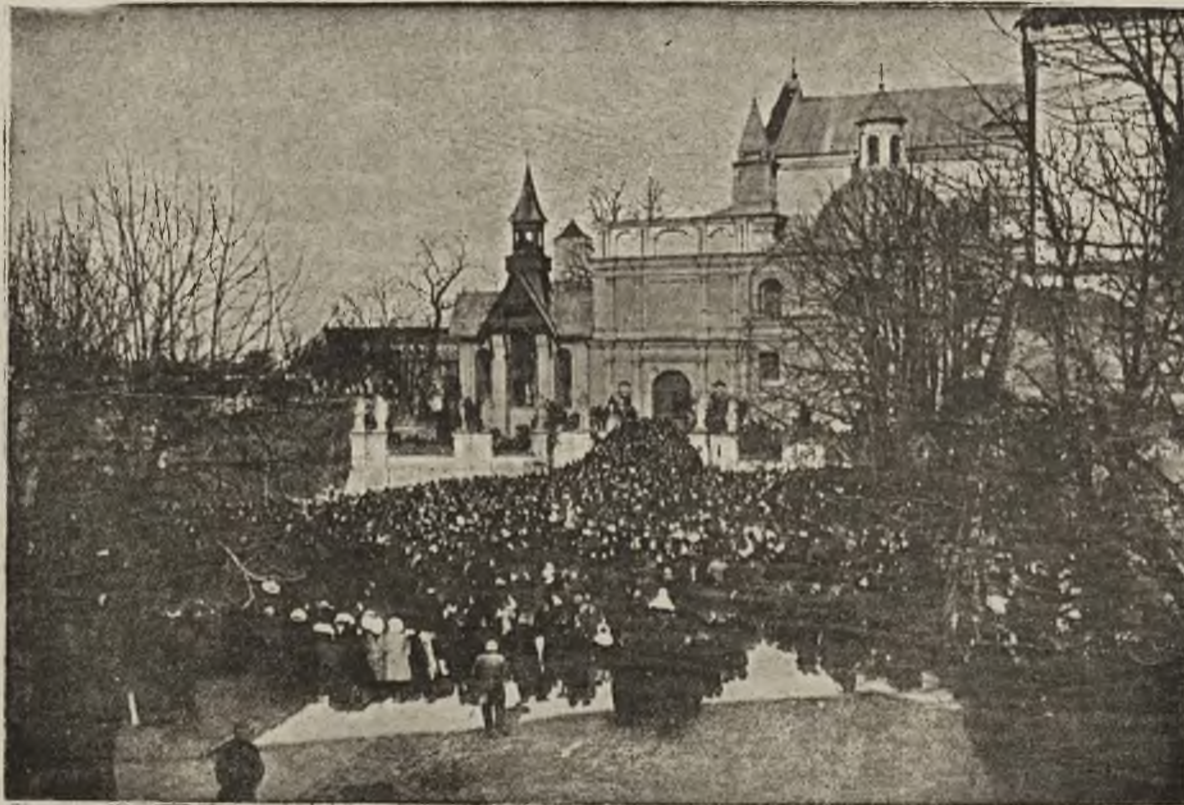
Inicyatywa wyszła od zawiązującej się tutaj, na wzór Przemyśla, „Organizacyi polskiej“.

Demonstracye trwały przez przeciąg trzech dni. I tak w sobotę dnia 16 lutego odbyło się uroczyste posiedzenie Rady przybocznej tymczasowego Zarządu miasta, na którem uchwalono protest przeciw nowemu rozbiorowi Polski, poczem tego samego dnia wieczorem urządziła młodzież gimnazyalna pochód pod pomnik Kościuszki, gdzie wygłoszono pełne głębokich myśli przemówienia.

W niedzielę dnia 17 lutego odbyło się, za staraniem „Organizacyi Polskiej“, w kościele parafialnym uroczyste błagalne nabożeństwo, podczas którego „Lutnia sokola“ odśpiewała szereg pieśni. Po nabożeństwie podążyły olbrzymie tłumy z pieśnią „Roty“ na ustach do gmachu Sokoła, na zapowiedziany wiec. Z okna budynku sokolego przemówił do zgromadzonych Dr. Hicner, poczem, z powodu



Protest Galicyi: Manifestacya na Rynku w Jaśle. (Fot. Jaworski).



Protest Galicyi: Przemówienie dra Bachowskiego i przysięga manifestacyjna w Jarosławiu. (Fot. Zdanowski)



Protest Galicyi: Przemówienie p. Stan. Szymońskiego pod pomnikiem Kościuszki w Jaśle.

niemożebności pomieszczenia się wszystkich w gmachu Sokoła, wiec musiał rozdzielić. W sali do zgromadzonych delegacyi Towarzystw i reprezentantów urzędów i władz autonomicznych przemawiali: ks. Kwolek i dr. Wilusz, poczem uchwalono wśród oklasków słowa gorącego sprzeciwu, zaś na obszernym dziedzińcu przed Sokołem przemawiał reprezentant młodzieży, p. Walaszek i włościanin Madejczyk. W prezydyum wiecu zasiadali pp.: dr Hener., mieszczanin Ochtałowicz i włościanin Kopczak.

Właściwa demonstracya odbyła się, tak jak w całym kraju, w dniu 18 lutego. O godzinie dziewiątej rano, po zastanowieniu pracy na kolei,



Protest Galicyi: Pochód manifestacyjny w ulicy Kraszewskiego w Jarosławiu (Fot. Zdanowski).

w fabrykach, urzędach itd. zaczęły się zbierać nieprzeliczone tłumy na ulicy Kościuszki i ustawiać się do pochodu, który rozpoczął się z chwilą nadejścia imponującego liczbą i sprawnością hufca kolejarzy i robotników rafineryi oraz pobliskich kopalń nafty.

Pochód, liczący conajmniej 8000 osób, pociągnął na rynek, gdzie przemawiali: dr Baranowski, dr. Michnik, Szafirz i Walaszek, następnie na ulicę Trybunalską, którą nazwano ulicą Chełmską, pod pomnik Kościuszki i tam po przemówieniach pp. Szymańskiego, Łobaczewskiej, Madejczyka, reprezentantki nczenic i dra Reichmanna, pochód rozwiązano.

Po południu, za inicyatywą młodzieży i kolejarzy, odbył się pochód pod pomnik grunwaldzki, gdzie po gorących przemówieniach młodzieży demonstracyę zakończono.

Cały trzydniowy jej przebieg był poważny i podniosły i pozostawił niezatarte wspomnienia.



Pochód Niemców na Wschód: Wojska niemieckie przekraczają drogę kolejową Ryga – Petersburg. (Fot. Bufa).



Protest Galicyi: Manifestacya na rynku w Jarosławiu. (Fot. Zdanowski).

Adam Wiaryga-Miniecki.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

40

— Iiii!... nie „dejże“ się panienka wyśmiać!... Także coś!... Rzeźniczka by zreśtą nie chciała... Przecie to zaraz widno, że panienka jest z „wyższego“ domu i do prostej roboty nie przyuczona...

— Błażejowa!... Błażejowa!.. — dało się słyszeć wołanie na podwórku.

— A kiż się dyabli urwali!! Ta idę już, idę!... Nie trza se pyska rozdzierać...

Świadkiem rozmowy Józi ze stróżką była siwiejąca, niska, przysadkowata kobieta, która od chwili stała już i bardzo uważnie się przysłuchiwała.

Była to lokatorka z tego samego domu, nazwiskiem Migdałowa. Czy była wdową, czy miała męża kiedykolwiek, tego nikt napewno nie wiedział i nikogo to też właściwie tutaj nie obchodziło.

Zajmowała mieszkanie stosunkowo duże, żyła dostatnio i nazywało się, że ma pralnię.

Co prawda w pralni tej pranie odbywało się dość rzadko, ale zato zawsze było kilka młodych i przystojnych praczek.

W szerokiej, płaskiej, jakby rozgniecionej twarzy tej kobiety, w jej burych, chytrych oczach było coś, co przypominało ropuchę.

Józia czuła do Migdałowej żywiołowy wstręt, bała się jej i unikała. Ale ta, nie zważając na lakoniczne odpowiedzi młodej kobiety, zachodziła jej często drogę, próbowała odwiedzać ją i narzucać się z przysługami i z jakiemiś niewyraźnemi radami.

Józi zdawało się zawsze, że od tej sąsiadki, z jej słów, uśmiechów i spojrzeń bije jakaś woń zgniła, zrodzona na bagnach grząskich a głębokich, w których się ginie bez ratunku.

Instynktownie strzegła się, a Migdałowa ścigała ją jak uparty myśliwiec zwierzynę.

— Co też pani w głowie — zaczęła teraz rozmowę tonem przyjaznym, przymilającym prawie. Pani miałaby za pomiotło być u takiej rzeźniczki... Czy to dla pani robota... Czy to dla pani życie... Pani się całkiem coś innego znaczy... Jabym sama doradziła — tak z życzliwości...

Józia, nie patrząc na usłużną sąsiadkę, postąpiła kilka kroków dalej.

— Dziękuję pani: Dam sobie sama radę... Nie chcę pani fatygować — odpowiedziała sucho.

Oczy Migdałowej zamigotały złością.

— Patrzcie!... jaka mi królewna!... — syknęła — W butach dziury! gryźć co nie ma, a stawia się!... Poczekaj, przyjdziesz ty jeszcze na moje podwórko! Nie takie jak ty Migdałową w rękę całowały i pięknie prosiły!...

— — — — — — — — — — — — —

Przenikliwe, lodowate dreszcze idą Józi po kościach... W całem ciele dziwne łamanie... w gardle ucisk nieznośny... Głowa ciąży i boli... A nadewszystko zimno... zimno i zimno...

W wilgotnej, pleśnej, cuchnącej izdebce od kilku dni nie palono... Mróz szczerzy po kątach zęby...

Józia ubrała się w najcieplejszą, jaką jeszcze obecnie posiada bluzkę, włożyła żakiet, przykryła się kołdrą, wtuliła głowę w jedyną pozostałą poduszkę i chce ogrzać swe ciało, którem coraz silniej wstrząsa febra...

Wierzch czaszki ma jakby opasany żelazną obręczą, która się z każdą niemal chwilą mocniej zaciska...

Z piersi Józi wydobył się słaby jęk...

Wyciągnęła z pod kołdry rękę po garnuszek z wodą. Pomimo wstrząsających nią dreszczów i zimna, jakie panuje w jej mieszkaniu, Józia odczuwa palące pragnienie... Wargi ma spękane, ślinę gorącą, a język taki wyschnięty jakiś i zesztywniały, jakby był z drewna.

— Rozchoruję się czy co?... — wije się myśl w przyćmionym mózgu.

Nawet jej nie przeraża to przypuszczenie... Wszystko jedno... niech co chce się dzieje...

Tylko to zimno... to straszliwe zimno!... To dziwne — wewnątrz pali jak żarem, a po kościach wciąż chodzi zimno, wciska się, przenika w każdą żyłkę, podrzuca ciałem osłabłem, obolałem...

Józia nie jadła dzisiaj nic od rana, a całe jej śniadanie stanowił kawałek suchego chleba i garnuszek niezabielonego mlekiem surogatu kawy. Ale głodna nie jest wcale, przeciwnie, na wspomnienie pokarmów ogarnia ją obrzydzenie.

Jeszcze wczoraj ssał ją głód, jeszcze wczoraj dostawała mdłości, przechodząc koło wędliniarni, cukierni lub restauracyi. Dzisiaj jest syta, tak syta, że przez gardło, zda się, watą wypchane, nie przeszedłby już ani jeden kęs.

Ciężkie powieki opadły jej na oczy. Zasnęła niespokojnym, męczącym snem gorączkowego majaczenia....

Spała tak może z godzinę, rzucając się po łóżku i jęcząc przez sen.

Zbudziła się zimnym potem oblana i z silniejszym jeszcze bólem głowy.

Wokół niej było pusto, głucho i czarno. Szeroko rozwartemi źrenicami wpatrzyła się Józia w ciemność.

— Boże!... toż ja mogłabym umrzeć tutaj, a nikt by nie zajrzał!... nikt by nie wiedział!...

Umrzeć!...

Nagły przemożny strach chwycił ją za włosy. Zdawało się jej, że z ciemności wyłania się jakaś wysoka postać, która stąpa niedosłyszalnie, ale idzie, idzie... Już zaraz będzie przy jej łóżku... już za chwilę dotknie jej zimnemi, jak śmierć rękoma.

— Jezu!...

Józia krzyknęła głośno. Zęby jej szczękały.

Momentalnie odrzuciła kołdrę i porwała leżące na stołku zapałki.

Kilka zapałek zgasło w jej drżących palcach, zanim zdołała zapalić ogarek świeczki.

Zerwała się i nacisnęła pospiesznie czapeczkę na głowę.

Jedno miała teraz tylko pragnienie: wydostać się jak najprędzej z tej samotności, z tej pustej czarnej izby, gdzie czai się strach niesamowity, gdzie niewidzialne wśród ciemności pełza przerażenie, jak gad zimny i jadowity.

Przebiegła przez sień, podwórze i bramę, jakby ją kto gonił.

Nie dygotała już teraz z zimna. Przeciwnie, zrobiło się jej tak gorąco, że nie zapięła nawet guzików paltocika.

Wstąpiło w nią chorobliwe podniecenie — jakaś gorączkowa energia. Śmiało i pewnie szła przez ciemne uliczki i zakazane zaułki, które ją zwykle napełniały niesłychaną trwogą.

Śmiało i pewnie wydostała się wreszcie na pierwszorzędną ulicę i zatonęła w tłumie.

Śnieg trzeszczał pod dziurawemi podeszwami Józi, ale ona nie czuła wcale zimna. Było jej ciepło i wesoło. Zuchwale, jak nigdy, spoglądała na przechodniów, uśmiechając się wyzywająco.

Kilka razy zaśmiała się głośno, tak się jej wydało zabawnem, że ci ludzie chodzą i chodzą w jedną i w drugą stronę... Wszędzie ich pełno... Wypowiedziała nawet sama do siebie jakąś uwagę na ten temat. Ktoś obejrzał się za nią i mruknął:

— Waryatka!

Józia mijała sklepy, kawiarnie, restauracye, zatopione w potokach światła. Siłą nałogu szukała na szybach wystawowych — kartek. Wreszcie na szybie jakiejś kwiaciarni przeczytała: „Potrzebna dziewczyna do posyłek“.

Zastanowiła się krótką chwilę.

— Aha... do posyłek... Dobrze... wejdę tu... Muszę dostać to miejsce. Gorączka dodawała jej odwagi. Śmiało weszła do sklepu i energicznie oświadczyła subjektowi:

— Chcę mówić z właścicielem...

Subjekt, układający właśnie chryzantemy w porcelanowym wazonie, popatrzył dziwnie na Józię i zrobił niewyraźną minę.

Widać było, że nie wie, co odpowiedzieć. Ale już sam właściciel, niemłody, łysawy, wygolony mężczyzna, usłyszał i podszedł:

— Pani sobie życzy?... — zapytał ze zdawkowym, mdłym uśmiechem, który, zda się, przyrósł mu do twarzy.

— Pan potrzebuje dziewczyny do posyłek. Ja pragnęłabym objąć to miejsce — rzekła Józia, patrząc mężczyźnie prosto w oczy.

Subjekt parsknął przytłumionym uśmiechem. Właściciel kwiaciarni milczał przez chwilę.

— To nie dla pani miejsce... — powiedział wreszcie.

— Dlaczego?... Ja chcę pracować, ja muszę pracować, rozumie pan?!... — mówiła już napół przytomnie.

— Tak... tak rozumiem... ale taka bieganina — to rzecz męcząca... To trzeba kogoś silniejszego.

— Kiedy ja jestem silna!... O bardzo silna!... — prostowała się i bez potrzeby zaśmiała się głośno.

Ale w tej chwili wstrząsnął nią głuchy kaszel.

Właściciel uważnie patrzył na nią: spostrzegł gorączką błyszczące oczy, okrągłe, małe wypieki na policzkach, wargi spieczone, spękane i nerwowo drżące ręce, drobne, kształtne, biedne rączki z poodmrażanymi palcami.

Przestał się uśmiechać.

— Pani jest chora... Pani powinna zaraz iść do domu i położyć się...

— Ja chora?! Chyba się panu śni!... — śmiała się jeszcze głośniej — ja zdrowa taka jestem, że no!...

Dla kupca sytuacya stawała się kłopotliwą. Do sklepu wchodzili nowi klienci, w pracowni czekała robota — chciał więc co rychlej pozbyć się dziwnej kandydatki na posadę dziewczyny do „posyłek“.

— Dzisiaj nie mogę jeszcze dać pani odpowiedzi — rzekł pospiesznie — proszę przyjść za tydzień...

Za tydzień... za tydzień...

Pomimo gorączkowego stanu, w jakim się znajdowała, zrozumiała, że to jest zwodnicza nadzieja...

Chwyciła ją złość nagła, mocna, niepohamowana.

— Jacyście wy podli wszyscy! — krzyknęła i wybiegła z kwiaciarni, trzasnąwszy tak silnie drzwiami za sobą, że o mało co nie wypadła z nich wielka, kosztowna tafla szyby.

Na ulicy owionął ją zimny wiatr. Zakaszlała znowu. Jednocześnie wstrząsnął nią dreszcz. Skuliła się w sobie i przez chwilę stała przed sklepem, bezmyślnie spoglądając przed siebie. Ktoś z wchodzących do kwiaciarni potrącił ją. Usunęła się machinalnie i poszła dalej.

Pustkę miała teraz taką w głowie, że nie było w niej miejsca na żadną myśl.. Szła tylko coraz wolniej z coraz większym wysiłkiem, bo ją rozbierała choroba...

Powróciły dreszcze, w boku kłóło jak szpilkami, głowa zdawała się ołowianym ciężarem...

Sama nie wiedziała, jak zaszła do domu, bo straciła zupełnie oryentacye kierunku...

Otworzywszy drzwi swego mieszkania, które zapomniała zamknąć na klucz, cofnęła się nagle w tył i krzyknęła przeraźliwie:

— Kto tu?

Na stołku płonęła świeca w butelce, a na łóżku siedziała jakaś kobieta.

Kobieta na widok Józi podniosła się zwolna:

— Ta to ja.. Migdałowa... Czego się panna Józia tak stracha?

— Migdałowa... Aha!... Migdałowa... Migdałowa... — powtarzała, jakby usiłując zrozumieć.

— A taż ja... Przyszłam sobie do panny Józi z jednym interesem, bo choć panna dumna, ale ja mam „miętkie“ serce i żal mi panny, bo tak już coś do panny Józi czuję, jak do rodzonej córki...

Uśmiechnęła się przypochlebnie i brzydko.

Józia przysiadła na łóżku obok Migdałowej i spoglądała na nią błędnie. Tamta rozglądała się po wilgotnej, pustej stancyi, przypatrywała się Józi i potrząsała głową.

— No, nie tęga u panny obrada... I panna wymizerowana jest, jak ta kość, co ją psy ogryzą... Ale to nic... Panna szczęście ma! o ma!...

— Szczęście mam, prawda?... — zapytała Józia i zaśmiała się dziko.

Nie zrozumiała ona właściwie, co Migdałowa mówi do niej. Gorączka paliła ją i zwolna odbierała przytomność. Ale Migdałowa nie spostrzegła tego jeszcze i ciągnęła dalej tajemniczo:

— Wie panna Józia... Ja znam jednego pana... Młody pan... dobry pan... jak malowanie ładny i bogaty.. i hrabia... prawdziwy hrabia!...

— Hrabia... — powtarza Józia bezmyślnie ostatnie słowo.

— Żebym tak jutra nie doczekała, jak hrabia!.. Panny za nim waryują poprostu, no, ale co się nie dzieje... Jemu się akurat panna Józia spodobała!... Strasznie mu się spodobała.. Tak on...

Józia przysunęła się nagle do swojej towarzyszki i jęła jej szeptać do ucha:

— Wie pani, pojedziemy do Zalesinek... zaraz jutro pojedziemy do Zalesinek..

Migdałową owionął gorący, rozpalony oddech. Kobieta uważniej spojrzała na Józię.

— Ta co panna Józia plecie? Do jakich Zalesinek?

— Konrad tam czeka na mnie... Konrad... Bo to z tą depeszą to wszystko nieprawda... To ona tak wymyśliła, żeby mnie zgubić... — bredziła dalej Józia, wpijając w twarz Migdałowej zmętniałe źrenice.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Pochód niemiecki na Wschód: Zajęte przez Niemców miasto Łuck z twierdzą rosyjską

Zgon dziennikarza.

W Krakowie zmarł w wieku lat 61 jeden z najstarszych pracowników dziennikarskich, ś. p. Józef Hopcas. Zawód dziennikarski rozpoczął przed 30 przeszło laty w „Czasie" jako sprawozdawca i kronikarz i w tem piśmie bez przerwy pracował aż do zgonu. Był dziennikarzem rutyrowanym, obznajmionym doskonale ze stosunkami miejscowemi. To też jako sprawozdawca w zakresie spraw miejskich oryentował się szybko i na tem polu wybitne objawiał zdolności. Osobista znajomość z przedstawicielami prawie wszystkich sfer społecznych ułatwiała mu spełnianie zadań dziennikarskich.

Obdarzony niezwykłą ruchliwością, darem towarzyskim, taktem i umiejętnością zbierania informacyi, wyrósł szybko na jedną z najdzielniejszych sił w tym zakresie.

W młodszych latach, kiedy był jeszcze mniej obarczony pracą dziennikarską, próbował także sił na polu beletrystyki. Pierwsze jego prace ukazały się w „Wydawnictwie dzieiek ludowych", podjętem we Lwowie pod wpływem idei szerzenia wśród ludu zdrowej i polskiej oświaty. S. p. Hopcas, obdarzony wybitnym zmysłem społecznym, stanął w rzędzie pracowników nad oświatą ludową i napisał kilka doskonałych ludowych powieści, cieszących się swego czasu znacznem powodzeniem. Pierwsza z nich nosiła tytuł: "Stary Grzegorz", druga: „Jak to często bywa na wsi?" trzecia: „Biedni ludzie"; czwarta najobszerniejsza, najpóźniej wydana, bo w r. 1894: „Opowiadania z większego miasta". Największem powodzeniem cieszyła się jednak jego praca p. t.: „Floryanka, jak ona poradziła ludziom w Czarnych Biedach?" Wziął sobie tutaj za temat trudne zadanie spopularyzowania wśród chłopów idei ubezpieczeń i obrał w tym celu formę powieści.

S. p. Hopcas był jednym z najstarszych członków Tow. dziennikarzy polskich i członkiem wydziału Syndykatu dziennikarzy krakowskich. Był także współwłaścicielem znanego biura sprzedaży dzienników w Krakowie. Pracowitość jego i sumienność w wypełnianiu obowiązków, uczynność dla kolegów, cenili wszyscy, to też w sferach dziennikarskich cieszył się wziętością i popularnością.



Z frontów bojowych: Zamaskowany karabin maszynowy do ostrzeliwania aeroplanów nad Piavą.
(Woj. kwat. pras.)

Pochód niemiecki na Wschód.

Ogłoszony urzędowy tekst traktatu pokojowego w Brześciu Litewskim nie wyznaczył, jak wiadomo, dokładnie nowej linii granicznej, która ma oddzielać okrojoną znacznie po stronie zachodniej Rosyę od terytoryów dawnej Rzeczypospolitej polskiej. Linię tę natomiast wytycza ogłoszony w pismach berlińskich komentarz urzędowy do mapy, stanowiącej załącznik do trzeciego artykułu traktatu pokojowego. Komentarz ten określa atoli nową linię graniczną w dość ogólnikowych zarysach, podając nazwy niektórych miejscowości, przez które, lub około których biegnie nowa granica Rosyi.

Otóż nowa linia graniczna biegnie między wyspami Dagoe a Worms i Moon i dochodzi do lądu stałego nieco na północny wschód od ujścia inflandzkiej rzeki Aa. Następnie zatacza łuk dokoła Rygi i przekracza Dźwinę na wschód od Oger Galle, między Itluksztą a Friedrichstadtem.

Począwszy od Oger Galle biegnie granica linią rzeki Dźwiny, aż na wschód do Dźwińska do punktu, gdzie kończyła się dotychczasowa granica kurlandzka.

Od tego punktu nowa linia graniczna wykreśla podział Litwy, której część wschodnią pozostawia przy Rosyi, tak, że nowa granica biegnąć ma zaledwie o jakie 40 kilometrów od Wilna. Od rzeki



Zgon dziennikarza S. p. Józef Hopcas



Pochód niemiecki na Wschód: Zajęte przez Niemców miasto Psków.



Zburzony przez artyleryę włoską kościół w St. Michele nad Piavą.



Z frontów bojowych: Opancerzona armata austryacka na wybrzeżu adryatyckiem. (Woj. kwat. pras.)

bowiem Dźwiny na wschód od Dźwińska, przy miejscowości Druja, nowa linia graniczna biegnie dalej w dość prostym kierunku do południowego krańca jeziora Dryświaty, przyczem miejscowość Dryświaty pozostaje przy Rosyi. Od tego punktu zbacza nowa granica w kierunku południowo zachodnim i przekracza linię kolejową Święciany Głębokie. Miasto Widze pozostaje na wschód od tej linii. Biegnąc dalej na wschód od miejscowości Michaliszki dochodzi w dalszym ciągu granica do linii kolejowej Wilno Smorgoń, którą przekracza nieco na zachód od miejscowości Słobódka i zbaczając dalej znowu w kierunku południowo zachodnim, dochodzi biegiem rzeki Gawji do Niemna. Oszmiana i Dejewjeniszka pozostają na wschód od tej linii.

Granica biegnie dalej wzdłuż Niemna w dół rzeki, do punktu powyżej Mostów, u ujścia do Niemna rzeki Szczary, poczem zwraca się wprost ku południowi i idzie biegiem Zelwianki aż do miejscowości Różany, które pozostają na wschód od tej linii. Stąd zwraca się w kierunku południowo-wschodnim i dochodzi do nowej granicy ukraińskiej w Prużanach.

Tak więc nowa linia graniczna biegnie znacznie na zachód od obecnego, a nawet w niektórych miejscach od dawnego frontu bojowego, zapewniając zresztą Niemcom panowanie nad Bałtykiem i dzieląc w sposób bezwzględny Litwę i Białoruś.

Naturalnie dziś trudno jeszcze przesądzać, jak się ułożą stosunki na Wschodzie i jaką ostatecznie ustali granicę przyszły kongres pokojowy. Rosya musiała się jednak zgodzić na układ brzeski, bo nie miała innego wyjścia wobec zwycięzkiego pochodu Niemców na Wschód. Każdy dzień przynosił nowe zdobycze, tak, że dziś zajęte przez Niemców obszary sięgają znacznie dalej, niż przewidziana w traktacie brzeskim linia graniczna... Zwłaszcza zajęcie Pskowa wywołało w Petersburgu ogromną panikę i rozpacz głodnych tłumów, ponieważ w mieście tem nagromadzone były ogromne zapasy żywności.

Pomimo zawarcia pokoju z Rosyą, nie skończył się bynajmniej pochód niemiecki na Wschód. Wstrzymano wprawdzie działania wojenne w północnej części wschodniego frontu, ale za to wojska niemieckie w dalszym ciągu „oswabadzają" Ukrainę, posuwając się tam coraz bardziej na wschód i południe.



Z życia Polaków na Węgrzech: Uczestnicy wieczoru polskiego, urządzonego przez podoficerów oddziału rekonwalescentów p. p. w Tiszolcu. (Fot. Münz).

Z życia Polaków na Węgrzech.

Na wszystkich frontach walczą dziś żołnierze polscy. Mnóstwo ich tuła się także po rozrzuconych w całej monarchii szpitalach i oddziałach. Przebywający na obczyźnie Polacy tem ściślej łączą się ze sobą, tworząc jakby jedną rodzinę. Sympatycznym objawem tej łączności był polski wieczór, urządzony w Tiszolcu na Węgrzech, gdzie znajduje się oddział rekonwalescentów galicyjskiego pułku.

Na wieczorze tym, urządzonym przez podoficerów pod protektoratem majora Bilka, por. Rogalskiego i dra Pokornego, odegrano polską sztukę „Kalosze" Fredry. — W przedstawieniu tem wzięła udział i cywilna publiczność. Wykonawców-amatorów, z pośród których należy wymienić pp. Olgę Lewakową, Lewaka, Schulza, Graca i Schneidra, za doskonałą grę obrzucono kwiatami.

Dochód z wieczoru, na którym urządzono także bufet, przeznaczono na rzecz wdów, sierot i inwalidów pułku.



Wejście do tunelu w Dolomitach.



Z frontów bojowych: Czworonożny towarzysz w okopach artyleryi. (Woj. kwat. pras.)

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

16

— A cóż zamierza uczynić z obecnym narzeczonym Sylwii, panem Gaudin?

— Tego mi nie m'wił.

— A Sylwia zgadza się na tę zamianę?

— Nie wiem jeszcze

Lopez przeciągnął ręką po czole jak człowiek, który chce zebrać rozproszone myśli. Był tak zaskoczo'y tem, co usłyszał, że wydało mu się to nieprawdopodobnem. Nagle okrzyk lekki wybiegł z jego piersi.

— Co panu jest? — zapytał Frank, który badał wrażenie, jakie ta wiadomość uczyniła na przyjacielu.

— Nic — odparł niewyraźnie Lopez — nie, nie pytaj mnie teraz. Musze chwilę iść za biegiem moich myśli. Ale jednak niech mi pan odpowie na jedno. Jak pan przyjął propozycyę pana de Compans?

— Tak, jak człowiek, który nie rozumie przyczyny, to jest z wielką rezerwą.

— Tem gorzej.

— Czy miałem przyjąć odrazu, nie zastanowiwszy się przedtem?

— Będzie pan zmuszony to uczynić.

— Jakże to?

— Ależ naturalnie, kochany doktorze.

— Pan chce, żebym został zięcem pana de Compans?

— Chce, ażeby przynajmniej on uwierzył, że tak się stanie.

— Byłaby to rola niegodna mnie — zauważył Frank, dotknięty żywo.

Lopez wzruszył ramionami.

— Co znowu — rzekł, krzywiąc się pogardliwie. — Czy chce się pan bawić w szlachetność, kiedy chodzi o odnalezienie morderców ojca pana?

— Ale cóż za łączność..

— Jest, czuję to — przerwał Lopez — czuję wyraźnie. Do hodzimy do celu i powtarzam panu, musimy się uzbroić w wielką ostrożność.

— Więc pan chce...

— Chcę, żeby pan przyjął propozycyę pana de Compans, tak będzie bardzo dobrze. Zresztą pan de Compans ma swoje osobiste powody, które go popychają do tego kroku, a które, o ile mi się zda e, łatwo odgadnąć mi przyjdzie. Poprowadzi on sprawę całą w szybkim tempie, a pan nie potrzebuje się wcale do tego mieszać.

— Tak pan sądzi?

— Jestem tego pewny.

— Ale zechce mi pan towarzyszyć jutro do pana de Compans.

Lopez zastanowił się chwilę.

— Jutro — rzekł — wątpię bardzo.

— I dlaczego to? — zapytał Frank, niemile zdziwiony.

— Mam ważną sprawę do załatwienia — odparł wymijająco Lopez

— Co takiego?

Lopez uśmiechnął się.

— Niech pan sobie wyobrazi, że ten głupiec Oktawiusz Gaudin, który jest pewny, że niezadługo zostanie mężem panny de Compans, urządza pożegnalny wieczór kawalerskiego życia w mieszkaniu swojem przy ulicy de Loval. Uczynił mi zaszczyt zaproszenia mnie i tak mnie usilnie prosił o przybycie, że nie byłem w możności odmówić mu.

— Więc pan tam pójdzie?

— Oczywiście, bo idac tam, kochany doktorze, mam tylko na celu służenie pana interesom, które zarówno są i moimi.

Obaj przyjaciele spędzili na rozmowie czas jakiś i kiedy wybiła godzina dwunasta, Lopez pożegnał Franka i wyszedł.

Domek pana Gaudin.

Oktawiusz Gaudin, tak jak to zaznaczył Lopez w swojej rozmowie z Frankiem, posiadał na ulicy Loval eleganckie mieszkanie, gdzie spędzał w miłem towarzystwie wolne godziny od uciążliwych za ęć giełdowych.

W owym czasie Gaudin utrzymywał stosunek z aktorką z Folies Dramatiques, która debiutowała dopiero w karyerze swojej scenicznej, a której pomógł do osiągnięcia pewnego stanowiska.

Młoda ta aktorka była bardzo sympatycznem dzieckiem i nikt nie mógł się dziwić zainteresowaniu, jakie jej okazywał Ok awiusz. Cieszyła się niezłą opinią pośród bywalców teatralnych, posiadała dosyć wybitne wykształcenie, a przedewszystkiem prawdziwe zdo'n ści i zamiłowanie swojego zawodu. Mieszkanie, które dla niej urządził Oktawiusz Gaudin, mieściło się na trzeciem piętrze. Urządzone było bardzo wytwornie i artysty cznie, szczególniej salonik, w którym młoda aktorka przyjmowała swoich przyjaciół, zwracał szczególną uwagę. Można w nim było spostrzedz bronzy wielkiej wartości, zegar stylowy elegancki i w dobrym guście, żardiniery z różowego drzewa, obrazy najlepszych mistrzów, puszyste dywany, tłumiące odgłos kroków. Wszystko to kosztowało wiele, ale Oktawiusz Gaudin w tym wypadku nie liczył się z kosztami, powodowany jedynie wygórowaną ambicyą i pragnieniem olśnienia przyjaciół. Dzień, w którym zgromadził ich po raz pierwszy w mieszkaniu przy ulicy de Loval i usłyszał szereg pochwał entuzyastycznych, był jednym z najszczęśliwszych w jego życiu.

Mała Judyta z wdziękiem wywiązywała się z obowiązków gospodyni domu i potrafiła sobie zjednać sympatye ogólne. Oktawiusz był nią zachwycony.

Jednakże ten stosunek nie mógł trwać wiecznie, jak wszystkie związki pogobnego rodzaju.

Jeden z przyjaciół małej Judytki doniósł jej pewnego dnia o małżeństwie, mającem się zawrzeć pomiędzy jej kochankiem, a bogatą córką bankiera de Compans. Judytka nie obdarzała wielkiem przywiązaniem Oktawiusza. Służył jej on dotąd za dobry środek do osiągnięcia solidnego stanowiska w teatrze, rozszerzając sławę jej imienia. Zrozumiała prędko, że zerwanie tego stosunku grozi jej wielkiemi stratami, jednakże musiała się pogodzić z losem. Nie marzyła nigdy o szczęściu wiecznem i pocieszała się myślą, że wkrótce znoleźć może jeszcze bogatszego i bardziej wpływowego protektora.

Oktawiusza zaś sytuacya ta wcale nie wytrąciła z normalnego biegu życia i nie uczyniła mu żadnej przykrosci. Był on z gruntu realistą i od najwcześniejszej młodości nauczył się rozumowo traktować wszystkie sprawy życia.

Zaraz przy pierwszej decydującej rozmowie porozumienie nastąpiło bardzo łatwo i Oktawiuszowi udało się zręcznie przekonać przyjaciółkę, że nie będąc na przyszłość krępowaną, ma pole do zadośćuczynienia swoim ambicyom i że wielu z jego znajomych, olśnionych jej talentem i wdziękiem, zoodzi się chętnie odegrać wobec niej rolę, która dotąd jego tylko była udziałem.

Te rozsądne argumenty poparte były jeszcze kilkoma biletami bankowymi i Judytka przyjęła zerwanie w najnaturalniejszy sposób w świecie.

Wieczór, na który zaproszony został Lopez, był więc ucztą pożegnalną. W mieszkaniu Judytki, Oktawiusz Gaudin w towarzystwie wybranych przyjaciół miał pogrzebać swoje kawalerskie życie.

Wiadomość o jego rychłem małżeństwie uczyniła dosyć rozgłosu w mieście. Gaudin miał poślubić pannę o magnackiej fortunie, do tego ładną i młodą.

W ten wieczór jednak zdawało się, że szczęśliwy narzeczony zapomniał o wspaniałej przyszłości, jaka na niego czekała. Salonik Judytki gorzał tysiącami świateł, wesoły ogień płonął na kominku, zaproszone koleżanki i przyjaciółki olśniewały urodą i dowcipem. W tej gorącej, odurzającej atmosferze Oktawiusz Gaudin, podochocony i wesoły, zapomniał o pięknej Sylwii de Compans, aby się tylko cieszyć chwilą obecną i wyciągnąć z niej największą sumę wrażeń.

Na dziś nie było mowy o interesach lub poważnych jakich sprawach.

Wkrótce Gaudin stał się duszą rozbawionego towarzystwa, pozbył się zwykłej sztywności i bawił się, po raz pierwszy może, bez żadnych ubocznych myśli, wciągając w szał ten całe otoczenie.

Właśnie towarzystwo całe siedziało przy kolacyi, kiedy Oktawiusz Gaudin uniósł nagle do góry kieliszek napełniony winem i wyrzekł podniesionym głosem:

— Pijmy na powodzenie przyszłości naszej, kochani moi. Co do mnie, w chwili ostatecznego zerwania z przeszłością, która pochłonęła tyle lat naszych młodych, żałuję tylko jednej rzeczy.

— Co takiego? Co? — pytano ze wszystkich stron.

— Żałuję cnoty mojej kochanej Judytki.

Wybuchem szczerego śmiechu przyjęto ten żart, podczas kiedy Judytka okazywała swoje niezadowolenie bardzo wymownem wzruszeniem ramion.

— O óż tacy są wszyscy mężczyźni — odezwała się, przeczekawszy pierwszą chwilę wesołości. — Wyśmiewają się z niewinności kobiet, o ile nie jest poparta workiem wypchanym złotem.

— Masz słuszność, Judytko — zawołał Oktawiusz. — Widzisz, moja mała, życie dzieli się na dwie równe sobie części: młodość i wiek dojrzały; dzieciństwo i starość nie bierze się w rachubę. Otóż młodość wiek dojrzały to dopiero życie prawdziwe! Dla młodości rozkosze łatwe i zabawy, dla dojrzałego wieku posagi, honory i sława! Pijcie i bawcie się, moi kochani! Wchodzę teraz w tę druga epokę życia i za jakie lat parę będę miał kilka dekoracyi na klapie surduta, kilkanaście siwych włosów na głowie i minę bardzo surową i budzącą zaufanie. A więc pijmy, moi kochani, za wspomnienia urocze pierwszych lat naszej młodości, opromienionej miłością i rozkoszą.

Przemówienie Oktawiusza przyjęto żywymi oklaskami, unosząc się nad jego humorem, werwą i dowcipem. Już teraz nawet, w tem małem kółku wybranych, potrafił sobie zyskać pochlebców, którzy w dzisiejszym przyjacielu widzieli bogatego i wpływowego cz owieka przyszłości.

Rozmowa stawała się coraz bardziej ożywioną i swobodną. Wino, perlące się w kieliszkach, podniecało umysły i serca, wytwarzając atmosferę sztucznej wesołości i szczerości

Jednakże wśród tego ożywienia, panującego w wytwornem mieszkaniu Judyty, jeden tylko człowiek pozostał obojętny i zimny. Spokojnem, chłodnem spojrzeniem obejmował rozbawione towarzystwo i żaden muskuł nie drgnął, najlżejsza oznaka wzruszenia nie przeszła przez nieprzeniknioną maskę jego twarzy. Słuchał i obserwował uważnie i tylko od czasu do czasu uśmiech ironiczny pojawiał się na jego ustach i lekkie wzruszenie ramion wskazywało, jak pogardliwie odnosił się do towarzystwa, w którem się znajdował.

Tym człowiekiem był Lopez.

Kiedy podano czarną kawę i cygara i każdy umieścił się jak mógł najwygodniej w saloniku, Lopez wolnym krokiem przeszedł do przyległego buduaru, otworzył cicho okno, z rozkoszą wdychając świeże powietrze nocne.

Była już godzina druga po północy.

Przy bladem świetle księżyca, niepokrytego żadną chmurką, dziwnie fantastycznie odbijały się ciemne budowle uśpionego miasta. Gdzieniegdzie tylko błyszczały skąpe światełka, podobne do gwiazd ziemskich, niekiedy rozlegał się głuchy turkot przejeżdżającej dorożki.

Ciekawy był widok Paryża o tej godzinie nocy.

Drzemała w nim teraz, świadoma swej potęgi, szalona fala życia, niszcząca, straszna, a jednak pełna magnetycznego uroku i siły.

W tej chwili don Lopez szarpany był tysiącem różnorodnych uczuć, które starannie chciał ukryć przed wszystkimi. Nosił on w duszy swojej oddawna tajemnicę, nieznaną nikomu. Przybył z daleka, aby doprowadzić do rezultatu święte zadanie, które sam sobie narzucił, wykonać zemstę sprawiedliwą.

Silny był, odważny, pełen energii, zdecydowany na wszystko. A jednak teraz, w tej chwili, pomimo myśli nie opuszczających go nigdy i przywodzących mu na pamięć echa dawnej przeszłości, wielkość i majestatyczna tajemniczość widoku, jaki przesuwał sie przed jego oczami, objęła go całą mocą i dreszcz niespokojny przebiegł jego ciało.

Wsparł się na framudze okna, ociężałym ruchem opuścił głowę na rękę i zagłębił rozgorączkowane spojrzenie w dalekie szczyty domów, posrebrzonych światłem księżyca, zamyślając się głęboko.

Paryż w nocy nie jest w niczem podobny do Paryża przy blaskach dnia jasnego. Podczas dnia miasto pławi się w jawnej bezmyślności i bezpieczeństwie. Żołnierze trzymają straż w rozlicznych miejscach, policyanci baczą na porządek ulic, powozy toczą się nieprzerwanie w różnych kierunkach, publiczność zalewa trotoary i skwery. Wszystko żyje pod znakiem interesów i życia.

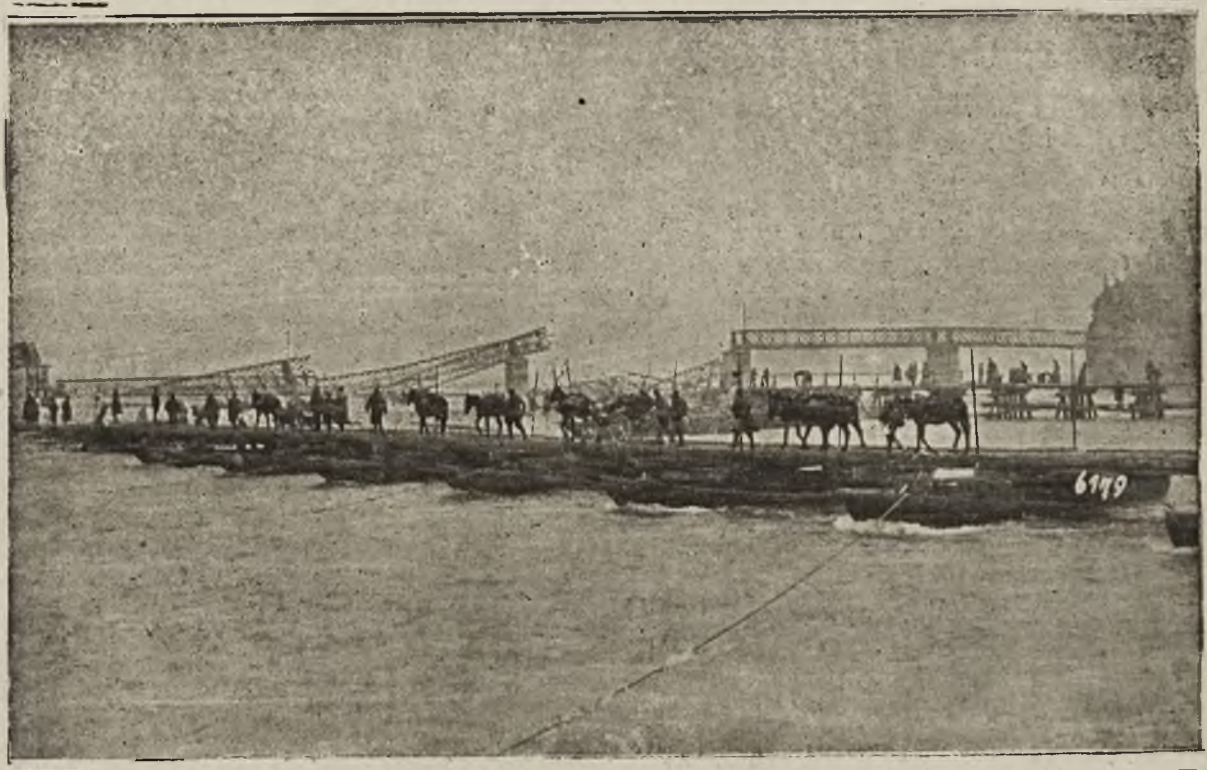
(C. d. n.)

Z frontów bojowych.

Na froncie zachodnim daje się odczuwać w ostatnich dniach znaczniejsze ożywienie. Czy jest to zapowiedzią nowej, wiosennej ofenzywy, trudno jeszcze dziś przesądzać. W każdym razie faktem jest, że nieprzyjaciel stara się wszędzie o wybadanie stosunków linii bojowej niemieckiej. Snują się bez liku oddziały wywiadowcze artylerya zaś rzęsistym ogniem użycza im ochrony, by tem pewniej mogły spełnić swe zadanie. Nieprzyjacielowi zależy teraz oczywiście bardzo wiele na tem, by mógł wybadać jak najszczegółowiej, co dzieje się na froncie zachodnim, jaki jest stan liczebny wojsk ustawionych na nim, jakie rezerwy poza frontem czekają w pogotowiu i t. d. Główna rola w tych wywiadach przypada z natury rzeczy lotnikom. Niezawsze to jednak wystarcza. Dlatego też piesze i konne oddziały wywiadowcze starają się usilnie o zabranie jeńca, choćby w niewielkiej liczbie, aby zasięgnąć języka u nieprzyjacielskich żołnierzy i na podstawie ich zeznań uzupełnić lub poprawić wynik wywiadów lotniczych.

Nawet większe ataki, o których doniosły komunikaty, mają, zdaje się, głównie cele wywiadowcze.

Również nie brak wiadomości, donoszących o przygotowaniach do ofenzywy włoskiej. Poza frontem odbywają się już podobno przegrupowania. Jednostki bojowe, które nazbyt ucierpiały w dotychczasowych walkach, lub którym zaufać nie można, usunięto z frontu, zastępując je przeważnie wojskami francuskiemi i angielskiemi. Słychać, że także ustawia się na pozycyach działa sprzymierzeńców, między innemi działa okrętowe najcięższego kalibru.



Z frontów bojowych: Przejście wojsk austro-węgierskich przez most pontonowy na Piawie. W głębi most, zburzony przez Włochów. (Fot. Bufa.)





Pochód Niemców na Wschód:
Na drodze, którą cofali się Rosyanie w Inflantach. (Fot. Bufa.) Żołnierze niemieccy przewożą na sankach w okolicy Dorpatu swe bagaże.

Wszystko to jest oczywiście możliwe. Jest jednak rzeczą równie prawdopodobną, że pogłoski te są umyślnie rozpuszczane jedynie w tym celu, aby nie dopuścić sił austro-węgierskich do wzmocnienia frontu zachodniego. A na tym właśnie froncie prędzej czy później musi przyjść do ostatecznego rozstrzygnięcia. To też koalicya zajęła się także usuwaniem tych przeżytków naczelnego kierownictwa, które wedle mniej lub więcej uzasadnionej opinii przyczyniły się do ostatnich niepowodzeń oręża.



Pochód Niemców na Wschód: Zdobycz wojenna, pozostawiona przez cofających się Rosyan. (Fot. Bufa)

W naczelnej komendzie koalicyi wybuchło pod wpływem owej dążności ciężkie przesilenie. Widomym kryzysu znakiem jest ustąpienie angielskiego szefa sztabu generalnego, Robertsona.

Wielkobrytyjskie kierownictwo armii broniło się do ostatniej chwili przeciwko politycznej naczelnej Radzie wojennej w Paryżu i przeciwko jej dążeniu do tego, iżby propagowana przez nią koncentracya militarnej inicyatywy przelana została na armię operacyjną kierowaną przez gen. Focka.

Objęcie następstwa po Robertsonie przez gen. Wilsona jest szczegółem także wysoce znamiennym. Wilson bowiem należy do najbliższych i najzaufańszych przyjaciół Lloyda Georgea. Tem samem Wilson będzie niewątpliwie popierał akcyę premiera, skierowaną przeciwko utrzymaniu angielskiego dowództwa w zupełnej odrębności.

Uważają za rzecz bardzo prawdopodobną, że mniej serdeczne stosunki łączą Wilsona z generalissimusem dotychczasowym armii angielskiej, Haigiem. Wilson bowiem reprezentuje w sobie wszystkie właśnie te aspiracye, przeciwko którym zwraca się Haig z całą energią, a umie być on energiczny, gdy idzie o obronę swych poglądów.

Natomiast ze zmiany na stanowisku szefa sztabu generalnego ogromnie zadowoleni są we Włoszech.

Objaw ten ma swe naturalne przyczyny. Wilson uchodzi za wybornego znawcę frontu włoskiego i zobowiązał sobie Włochów komplementami, jakimi obsypał gen. Diaza. Do Robertsona mieli urazę z powodu, że cała jego uwaga skierowana była na front zachodni tak, iż dla Włochów już nic z niej nie pozostało. Co do Wilsona, panuje przeświadczenie, że okaże on więcej ustępliwości wobec uchwał naczelnej Rady wojennej, a tym sposobem akcya militarna będzie bardziej jednolitą i skuteczną.

Kronika tygodniowa.

Pierwsza połowa postu czterdziestodniowego, który jednak trwa nieco dłużej, zwłaszcza zaś w obecnych warunkach, już minęła, według zapowiedzi powinien więc kronikarz zacząć przygotowywać Czytelników do zbliżających się świąt Wielkiejnocy, czyli, innemi mówiąc słowy, nastroić swą kronikarską lutnię na nieco weselszy ton, niż to było dotychczas.

Ale łatwo to powiedzieć, a daleko trudniej w czyn wprowadzić, już choćby tylko z tej przyczyny, że owe przedświąteczne przygotowania sprawiają każdemu tyle kłopotów, iż niejeden z ojców rodziny nie miałby nic przeciw temu, gdyby wszelakie święta, a zwłaszcza te, do których trzeba się przygotowywać, boda,by tylko na czas wojenny z kalendarza usunięto.

W czasie postnym powinno się było śpiewać gorzkie żale i jeść śledzie, tymczasem stało się zupełnie inaczej. Nie śpiewał ich nikt w tym czasie, gdyż uprzykrzyło im się ich nucenie przez rok cały, nie jadło się też i śledzi, gdyż ich chwilowo brakło, choć nasz magistrat miał podobno założyć własną ich fabrykę nad Rudawą i powołał nawet na jej fachowego kierownika jakąś wybitną, bo nie pozbawioną protekcyi siłę, z roczną pensyą kilkanaście tysięcy koron. Na razie założenie fabryki stanął na przeszkodzie brak odpowiedniego gatunku ryb w obu Rudawach, to jest w nowej i starej. Ponieważ zaś śledzie można sprowadzać głównie z krajów neutralnych, robiących na tem doskonałe interesy, nawiązano w tym celu rokowania dyplomatyczne i miano nawet wysłać specyalne komisye, aby sprawę zbadały na miejscu i złożyły pełnej Radzie wyczerpujące sprawozdanie, ale wszystko utknęło znowu z powodu braku gotówki w kasie miejskiej po przeprowadzeniu sanacyi miejskich funduszów przez pana Onyszkiewicza.

W ten sposób cała sprawa, jak to mówią, zjadła śledzia.

Skoro zaś w wielkopostnym czasie nie było śledzi, *ergo* nie będzie też i na Wielkanoc tego, co z nią jest ściśle połączone, więc od jaj począwszy, na świńskich delikatesach, mazurkach i babkach skończywszy. Będzie więc wówczas dana każdemu sposobność odśpiewania gorzkich żali, zamiast wesołego „Alleluja".

Temat ten, który teraz poruszyłem, jest zresztą tak niewdzięczny, iż bynajmniej nie zdziwiłbym się wcale, gdyby cenzura skreśliła go z urzędu. Jest to bowiem „robienie złej krwi" i drażnienie niepotrzebne ogółu. Wobec tego ja ręki do tego nie przyłożę, niech każdy przygotowuje się do nadchodzących świąt, jak mu się żywnie podoba. Cztery lata wojny już nas do tego przyzwyczaiły, że zamiast słodkich bab na stole, widzi się baby ze skwaszonemi minami dookoła stołu i żyje się tylko wspomnieniem tego, co było, przeszło, a niewiadomo kiedy wróci! Jak zresztą zabierać się do jakichś prac przedświątecznych, ot, dajmy na to, choćby tylko do takiego na pozór głupstwa, jak upieczenie zwykłego placka przekładanego, gdy brak ciągły mąki, jaj, cukru, drożdży i innych dodatków, niezbędnych do tego w myśl rozporządzenia ś. p. Cwierciakiewiczowej. Nawet nie będzie marmolady, mogącej zastąpić konfitury, gdyż zamknięto na Podgórzu jej fabrykę, prowadzoną wprawdzie bez koncesyi, ale zato postępowo a oszczędnie, wszelakie bowiem gatunki owoców zastępowały tam najzupełniej zwykłe pastewne buraki, służące dotąd do karmienia bydła, a teraz nie mogące znaleźć innego praktycznego zastosowania gdy, dzięki odnośnej centrali, galicyjskie bydło obchodzi się już bez jedzenia, albowiem samo zostało zjedzone, ale przeważnie nie przez nas, lecz przez kochających nas sąsiadów.

Zupełnie zaś to samo, co o owym placku, przekładanym wojenną marmoladą, można powiedzieć i napisać i o innych świątecznych smakołykach, które w tym roku mogą odżyć chyba we wspomnieniu.

Dobrze się zresztą stało, że tegoroczne święta, wprawdzie tylko drugi ich dzień, przypadają na pierwszego kwietnia, każdy więc spoglądnie na pusty talerz i powie sobie: "Prima Aprilis!.."

Ale dość już tych prawdziwie gorzkich żali. Porzucam ten niewdzięczny temat, zabierając się do właściwej kroniki.

Zanim jednak to uczynię, muszę się wytłumaczyć, dlaczego tak nagle zerwałem z polityką, której poświęciłem niepodzielnie całe dwie kroniki.

Stało się to z dwu powodów. Pierwszym, który był nawet ważniejszym od drugiego, był jeden mój znajomy, a raczej jego żona. Pochwaliła mnie wprawdzie, że taką napisałem kronikę, którą nawet dwa razy wraz z swym małżonkiem przeczytała, ale ponieważ on ma bardzo czułe serce i ze wzruszenia spłakał się biedaczyako, prosi, by nadal takich tematów nie poruszać.

— Pan łaskawy — mówiła — wie chyba jak teraz o mydło trudno, a mój mąż, nieboraczek, czytając pańską kronikę, dwie, powiadam panu, dwie chustki najzupełniej zbrukał, a nawet i ręcznikowi się coś dostało, ale mu go jeszcze na czsas odebrałam!...

Tłumaczyłam się, jak mogłem:

— Nie rozumiem tego, pani dobrodziejko, jak można, płacząc, powalać łzami aż dwie chustki i ręcznik... Poeci nazywają wprawdzie łzy „gorzkiemi", ale nigdy „czarnemi"...

— Tak! Tak!... Ale mój stary farbuje sobie wąsy, a chyba nie trzeba kochanemu panu mówić, że teraz i wojenne farby dyabła sa warte... — odpowiedziała, a ja jej musiałem przyznać zupełną racyę.

Drugim powodem, ale już zupełnie innej natury, były owe białe plamy, jakie wystąpiły na jednej z poprzednich kronik. Są to oznaki tyfusu plamistego, wywołanego przez bakteryę, znaną w medycynie pod nazwą *bacillus censuralis*. Ponieważ zaś tyfus jest, jak również każdemu zapewne wiadomo, chorobą za raźliwą i bardzo łatwo może być „zawleczonym", każdy zaś, kto się do tego przyczynia, naraża się na pociągnięcie do odpowiedzialności, ewentualnie zaś na „izolowanie", wolę więc na przyszłość być ostrożnym, choć zapewniam, że kroniki piszę tylko antiseptycznym atramentem.

Ale z panem „fizykiem" nie opłaci się zadzierać! Jasna zresztą rzecz, że co się jednemu podoba i to nawet tak, iż nad tem płacze aż „do puszczenia farby", drugiemu może się nie podobać i tak, a nie inaczej stało się w tym właśnie wypadku.

Przyznaję się ze skruchą, że nawymyślałem może zadużo dyplomatom ale cóż ja jestem temu winien, że się pomylili?... Wszak oni są tylko ludźmi i mają po dwie nogi (zdaje mi się, że żaden z nich nie nazywa się *Dreifussem)* a nawet wół choć ma cztery nożyska, nieraz się potknie i upadnie. Zbyczyli, ale miejmy nadzieję, że się na przyszłość poprawią. W tej myśli przechodzę nad nimi do porządku dziennego, który „wielkiej" polityki ani tknie, co najwyżej pozwolę się kronikarskiemu pióru zapuścić w sprawy miejskie, to jest domowe.

A ten temat nie jest tak drażliwy. O to nie pogniewa się nikt, zwłaszcza, że osobistości z zasady nie tykam, do władz zaś, nawet autonomicznych, jako od Boga także pochodzących, odnoszę się z należytym respektem... Jeżeli zaś dotknę czasem jakiej drażliwej kwestyi, czynię to tak delikatnie, iż nawet interesowany, czytając me wywody, musi powiedzieć, bodaj w duchu:

— A jednak ma racyę!...

Zaczynam więc od wyboru prezydenta miasta Krakowa, jako mu się słusznie należy, jeśli nie z wieku, to w każdym razie z urzędu.

W poprzedniej kronice nie mogłem sobie na to pozwolić, gdyż w tym czasie, gdy nowy pan prezydent wychodził z urny wyborczej, *Nowości Illustrowane* wychodziły z pod prasy drukarskiej, a choć wyraźnie zaznaczyłem, że wybranym będzie ten, kto ma być, nie mogłem przecież nic dokładniej powiedzieć, boć nie jest wykluczonem, że przecież może się w międzyczasie zdarzyć niespodzianka, a o niespodzianki teraz nie trudno. Żadne zaś mieliby Czytelnicy wyobrażenie o kronikarzu, który napisał o wyborze prezydenta i wyliczył jego zasługi, a tymczasem pokazało się, że z urny wyszedł zupełnie kto inny...

Byłaby z tem ta sama historya, co z owym reporterem, który, pisząc sprawozdanie z odczytu, wysilił cały swój poetycki talent na to, by określić, z jaką znajomością rzeczy rozwinął prelegent zawikłaną sprawę, z jaką przemawiał swadą, w jak'em zaciekawieniu przysłuchiwało się liczne audytoryum jego uczonym wywodom, gdy tymczasem w tem samem piśmie, ale w wieczornem wydaniu, pojawia się notatka tej treści:

„Wczorajszy odczyt prof. X. Y. nie mógł się odbyć z powodu nagłej niedyspozycyi prelegenta. Odłożono go na następną niedzielę".

Otóż, by się uchronić od podobnej niespodzianki, wolę o wszystkiem pisać *ex post* i nie uprzedzać wypadków.

Habemus papam! Na stolcu prezydyalnym w pałacu Wielopolskich zasiadł wyjątkowo nie adwokat, ani nawet doktor, ale przedstawiciel krakowskiego mieszczaństwa, zarazem jeden z filarów krakowskiej demokracyi.

Jak pan Jan Kanty Federowicz będzie rządził miastem, to już jego rzecz, przypuszczać przecież należy, że mu na dobrych chęciach służenia rodzinnemu miastu i siłach, potrzebnych do tego, bynajmniej nie zbywa. Stosunki miejskie dobrze zna, był bowiem z ś. p. prezydentem Leo, jak to mówią „jedna graba" i też się może liczyć do twórców Wielkiego Krakowa, chociaż sam nie jest z zawodu adwokatem, ale tylko kupcem, powinien właśnie dlatego pokazać, że miastem rządzić niezgorzej potrafi.

Bo tylko w Krakowie utarło się mniemanie, że prezydentem powien być co najmniej doktor, o ile możności prawa, w najgorszym razie medycyny. We Lwowie są innego zdania. Tam burmistrzował lakiernik, blacharz, kowal i drukarz, a każdy robił co do niego należało i zdziałał dla miasta może nawet więcej, niż niejeden bardzo uczony prawnik.

Świat się podobno demokratyzuje ale ciągle przecież wyłażą na wierzch jakieś arystokratyczne nawyczki i te wstrętne:

— A fe!... Nie wypada!... Co na to ludzie powiedzą...

Nowemu prezydentowi życzy kronikarz w swem i Czytelników imieniu powodzenia na nowem, a tak odpowiedzialnem, zwłaszcza w obecnych czasach, stanowisku, na które sam miał apetyt.

Dziś, gdy już po wszystkiemu, mogę się do tego przyznać, że jakiś czas nosiłem się z myślą ubiegania się o fotel prezydyalny, w czem, nie wątpię, byliby mnie gorąco poparli P. T. Czytelnicy, a zwłaszcza płeć nadobna, która tyle dzie mi zawsze dowodów uznania. Jeśli tego nie uczyniłem, to tylko z tego powodu, iż do składu Rady miasta dotąd jeszcze nie należę, a nie wiedziałem czy statut miejski pozwala na wybór poza nią stojącego osobnika. Wiem już, że pozwala, ale dowiedziałem się o tem po niewczasie. Zresztą byłaby i dla mnie przeszkoda, pewnego rodzaju *impedimentum impediens*. O wyborze decyduje krakowska demokracya, silnie się kupy trzymająca i ona mianuje prezydenta. Ja zaś, na moje nieszczęście, do tej partyi nie należę, ale jestem sobie „dziki", do żadnego stronnictwa otwarcie się nie przyznający, uznający natomiast, co w którem dobre, a wytykający co złe. Gdybym jednak mógł żywić nadzieję, że zamysły moje będę mógł doprowadzić do zrealizowania, kto wie, czy nie byłbym się nawet i zdecydował do przejścia na krakowsko-demokratyczne wyznanie polityczne.

To dziś mądre, bo popłatne!

A przyznam się, że nie tylko z chęci służenia miastu byłbym się ubiegał o ten zaszczyt, bo to jest idealne zapatrywanie się na sprawę, a ja jestem zwolennikiem polityki realnej, to jest, iż chciałbym też i coś mieć za to, że się dla ogółu trudzę. Chyba zaś przyznają mi racyę nawet i w sprawie tej interesowani...

Pozatem byłbym tę promocyę uważał za pewnego rodzaju rekompensatę za różne niepowodzenia, jakie mnie już w życiu spotkały i jeszcze spotkają. Ot, znowu uciekła mi z przed nosa nagroda z fundacyi Nobla, choć byłbym wziął pierwszą z brzegu, niekoniecznie tylko pokojową.. Byłbym się zrzekł nawet i złotego medalu, byle tylko wypłacili gotówkę, w jakiejkolwiek mającej obieg walucie, niechby nawet w ukraińskich karbowańcach!...

Ale znów fiasko!... Na przeszkodzie stanął mi pan Reymont, ale ja sobie i z tego nic nie robię i powiadam, że prawdziwa zasługa nigdy nie zostanie prawdziwie ocenioną. Pamiętam jednak zawsze święte słowa naszego pana fizyka: „Mimo przeciwności nie upadaj nigdy na duchu" i to mnie ratuje i utrzymuje w równowadze duchowej i... czekaniu.

Czekam więc i to nie tylko na ową nagrodę, ale i na mąkę z Ukrainy, choć straciłem już zupełnie nadzieję doczekania się tak jednej, jak i drugiej. Co do owej mąki, to powiedziano już wcześniej, że nie będzie z niej z pewnością chleba.

Aby uświetnić wybór nowej głowy miasta i upamiętnić tę uroczystą chwilę, postarano się przedewszystkiem o to, aby odtąd chleb wojenny posiadał piękny żółty kolor, tak, aby w danym wypadku mógł łatwo zastąpić świąteczny jajecznik. W tym celu, choć przednówek jeszcze właściwie daleko, ma się odtąd wypiekać chleb z odpowiednią domieszką mąki kukurudzianej, która ma nam zastąpić pszeniczną, obiecaną z Ukrainy, jeśli będziemy siedzieć cicho i nie będziemy rządowi centralnemu robić trudności.

Na Ukrainie było dość zboża, a z niego, przynajmniej przed wojną, robiło się mąkę, ale na to zboże nie tylko my mieliśmy apetyt. Najlepiej wychodzi zwykle ten, kto jawi się pierwszy, nasza zaś szersza ojczyzna nigdy się nie spieszy i tem przypomina pociąg kolei lokalnej, który przychodzi ostatecznie na miejsce, ale z zasady z kilkogodzinnem opóźnieniem.

I teraz podobno tak się stało. Kto inny zabrał zboże i będzie miał mąkę, a my będziemy łapę lizać i cieszyć się.. kartami mącznemi chlebowemi.

Równocześnie, być może także *ex re* wyboru nowego prezydenta podwyższono ceny jazdy tramwajem. Podwyższenie to motywuje się podwyższeniem płac funkcyonaryuszy tramwajowych, ale jest i inna wersya, która głosi, że w ten sposób ma się bodaj częściowo załatać ową dziurę, jaką w miejskiej kasie zrobił pan Onyszkiewicz.



Pochód Niemców na Wschód: Pozostawione przez Moskali w jednej z miejscowości w Inflantach armaty i tren (Fot. B-fa)

Głosy publiczne.

Konkurs na projekt mebli włościańskich i małomieszczańskich ogłoszony przez Biuro przemysłu drzewnego c. k. Namiestnictwa (C. O. G.) i Wydziału krajowego we wrześniu 1917, został rozstrzygnięty dnia 27 lutego przez Sąd konkursowy, złożony z pp.: Adolfa Szyszko Bohusza, Jana B kowskiego, Józefa Gałęzowskiego, Władysława Ekielskiego, Zygmunta Harlanda, Wacława Krzyżanowskiego, Ludwika W jtyczki, który pełnił obowiązki członka Sądu konkursowego w czasie nieobecności p. Zygmunta Harlanda następnie z delegatów Biura przemysłu drzewnego pp. Jana Dworskiego i Aleksandra Łuszpińskiego, wreszcie przemysłowców stolarskich pp. Józefa Czerskiego i Andrzeja Sydora.

Na konkurs nadesłano ogółem 102 prac.

a) Przyznano nagrody: Za projekt na meble włościańskie: pierwszą numerowi 72, drugą 75, trzecią numerowi 68;

za projekt na meble małomieszczańskie: pierwszą numerowi 71, drugą numerowi 76, trzecią numerowi 82.

b) Zakupiono z projektów na meble włościańskie: numera 77, 80, 74, 79, 83, 81.

z projektów na meble małomieszczańskie: numera 95, 73, 78.

Po otwarciu kopert okazało się, że autorami prac a) nagrodzonych są: pp. Karol Stryjeński, Kraków, nru 72; Wojciech Jastrzębowski, Kraków, nru 75; Bogdan Treter, Kraków, nru 76; Karol Sic ński, Warszawa, nru 68; Wojciech Jastrzębowski, nru 71; Wiesław Zurzycki, Kraków, nru 82.

b) Zakupionych: Bogdan Treter, Kraków, nru 77; Stefan Stępkowski, Kraków, nru 80 i 79; Jan Protschke, Kraków, nru 73 i 74; Jerzy Ascher, Kraków, nru 79; Józef Kaban, Tarnobrzeg, nru 95; Leon Zeyland, Poznań, nru 83; Józef Seredyński, Rawa Ruska, nru 81.

Protokół obrad Sądu konkursowego ogłoszony będzie w najbliższym numerze czasopisma „Odbudowa kraju".

Wystawa wszystkich prac nadesłanych na konkurs otwarta będzie, począwszy od 3 do 10 marca b. r. włącznie, codziennie od godziny 9—1 popołudniu, w lokalu przy ul. Floryańskiej L. 15. I. p. (przez ganek). Wstęp wolny.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył K. Chodkiewicz, Radomyśl.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy rozwiązanie.

```
      ■
    – ■ –
  – – ■ – –
– – – ■ – – –
  – – ■ – –
    – ■ –
      ■
  – – ■ – –
– – – ■ – – –
  – – ■ – –
  – – ■ – –
      ■
  – – ■ – –
    – ■ –
      ■
  – – ■ – –
  – – ■ – –
– – – ■ – – –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Rosyi południowej. 3. Miasto w Chinach. 4. Inaczej prawo wyłącznej sprzedaży. 5. Miasto na Litwie. 6. Bożek pasterzy. 7. Spółgłoska. 8. Drzewo owocowe. 9. Dawna nazwa Albańczyków. 10. Miasto w Inflantach. 11. Pieniądz. 12. Spółgłoska. 13. Rodzaj wołu. 14. Rzeka w Niemczech. 15. Spółgłoska. 16. Owad. 17. Imię żeńskie. 18. Ptaki afrykańskie.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył St. Winter, Stanisławów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć znane polskie przysłowie:

- a - - u - - ie, - - - ie - o - - u - a!

Okienko.

Ułożył St. Winter, Stanisławów.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
a  a  a  a  e
e     e     e
l  ł  ł  m  n
n     o     o
r  r  s  s  t
```

Znaczenie wyrazów: 1. Znany tłuszcz, bardzo dziś poszukiwany. 2. Pierwiastek chemiczny. 3. Strój kościelny.

Szarada.

Ułożył K. Chodkiewicz, Radomyśl.

Która z pań *pierwsze*, że piękne ma *drugie i trzecie*,
Dumna jest z tego, lecz niech ma w pamięci,
Że wszystko przemija na tym biednym świecie
I nie wszystko jest złotem, co się pięknie świeci.
Gdy zbieżysz dokładnie galicyjskie miasta,
Z pewnością napotkasz i miano *całości*,
Co pamięta jeszcze sławne czasy Piasta,
Dawne dzieje naszej wspaniałej przeszłości.

Trójkąt magiczny.

Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko znanego współczesnego malarza polskiego.

```
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ – – – – – – – – – – – – –
□ – – – – – – – – – – – –
□ – – – – – – – – – – –
□ – – – – – – – – – –
□ – – – – – – – – –
□ – – – – – – – –
□ – – – – – – –
□ – – – – – –
□ – – – – –
□ – – – –
□ – – –
□ – –
□ –
□
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukane wyrazy. 2. Utwór Mickiewicza. 3. Dwa imiona żeńskie. 4. Nazwisko i pierwsza litera imienia polskiego bohatera z czasu wojen ze Szwedami. 5. Uroczyste oświetlenie. 6. Tragik grecki. 7. Starożytni mieszkańcy zachodniej Europy. 8. Znany napój. 9. Miasto w Grecyi. 10. Imię męskie. 11. Znany minerał. 12. Rzeka w Galicyi. 13. Pieniądz rzymski. 14. Spółgłoska.

Logogryf.

Ułożył K. Denasiewicz, Drohobycz.

Z podanych zgłosek ułożyć szereg wyrazów. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół i końcowe, czytane w tym samym porządku, podadzą rozwiązanie.

A, biad, bi, bro, dół, dy, dyż, dzun, go, in, kie, krąg, kró, la, lam, lew, o, o, no, nów, ru, scy, sy, wą, wi, wie, zaj.

Znaczenie wyrazów: 1. Poemat Słowackiego. 2. Miejscowość pod Warszawą. 3. Wyraz znany z geografii lub geometryi. 4. Inaczej jama. 5. Znany barwik. 6. Znana krotochwila. 7. Imię męskie zdrobniałe w piątym przypadku. 8. Postać z biblii. 9. Powieść Kraszewskiego.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył St. Winter, Stanisławów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

A, ą, b, d, e, e, ę, i, i, i, k, ł, n, n, o, p, s, t, t, t, y, z

Bilety wizytowe.

Ułożył St. Winter, Tarnów.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

M. REPIER

E. IPSYSTER
SANOK.

TJAD. DE UKOROWYJ KUR
BRODY.

PIOTR DALAY ODWIEK.
DREZNO.

POTYNENCKI

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *M. Rodziewiczówny*: **Straszny dziadunio.** Powieść.

Właściciel i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Nakładem własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.